Rozmaitości

Dnia 30. Października **N**^er.^ 44. Roku 1841.

JUNDZA.

(Dokończenie.)

W tym czasie, gdy w Bukarescie z niecierpliwością i zachwyceniem oczekiwano zabaw publicznych, które w czasie wesela wielkiego Wornika *de Kutii* nastąpić miały, dwie tylko istoty nie miały udziału w powszechnéj radości i dręczyły się nieznośną męczarnią: Anika oczekująca wyznaczonego przez Kostakiego dnia, i Aga prześladujący Jundzę. Odkrywał on po kilkakrotnie ślady zuchwałego rozbójnika, okrążał go policyjną pajęczyną, jeździł sam z pandurami i służbą policyi, już zdawało mu się, że go schwyci w łapkę, ale za każdym razem wyśliznął mu się Jundza jak piskorz z ręki.

»Nie! nie będę Agą, jeźli go nie ułowię! Jeszcze miesiąc lub dwa — a potém pójdę sam do Hospodara, powiém mu, że ja nie jestem Agą i poproszę, ażeby komu innemu ten żmudny urząd powierzył.« — Nieustanne i sprężyste prześladowanie bandy, oraz dobrze obliczone uwagi, nauczyły Agę poznawać, gdzie i w którém miejscu ukrywa się Jundza. Pod ten sam czas podobała mu się wieś Odobeszti, o piętnaście wiorst od Fokszan. Kilkunastu uzbrojonych ludzi podejrzanéj powiérzchowności chodziło do karczmy po wódkę. Jakiś konny Arnaut kupił dwa barany i popędził je w góry, potém z daleka spostrzeżono kilka osiodłanych koni, które dzień i noc pasły się na trawie. Jeden śmiałek zapędziwszy się daléj, spostrzegł u podnóża spadzistéj góry pieczarę zasłonioną drzewami, a w niéj kilku uzbrojonych ludzi. O tém wszystkiém dano znać do Bukarestu. — Aga ożył, i z zaufaniem rzekł sam do siebie: »Już teraz mi nie ujdzie!«

Bez wątpienia polegając na znajomości miejscowéj pozycyi, piérwszy raz Jundza rozgościł się dłużéj niż zwyczajnie w Odobeszti a tém samém dał czas Adze zebrać znaczną liczbę milicyi krajowéj. Ślady pobytu Jundzy tak były jawne, rozporządzenia Agi tak dokładne, pandury na rozbójników tak zażartymi, iż gdyby Jundza siedm głów miał, gdyby on był nawet złym duchem lub wilkołakiem, za kilka dni musi wpaść w ręce policyi.

Noc była ciemna i słotna, ulewny dészcz z gradem tłukł się po dachach i oknach. Huczały gromy, a błyskawica wijąc się po podniebiu, oświécała czarne chmury. Ulice Bukarestu były puste, gdzie niegdzie tylko łyskało światełko w oknach, i psy wyły na łańcuchach.

Na szérokim tureckim dywanie siedział Aga oparłszy się plecyma o ścianę. Upalona znacznie świéca, ledwie rozjaśniała ponure jego oblicze. On, to pił kawę, to brał lulkę bez najmniejszéj ochoty. Całą myśl jego zajmował goniec z Odobeszti, którego co chwila oczekiwał.

Raptem mocny przeciąg wiatru uderzył po pokoju. Leniwo obrócił Aga głowę, a oto stoi przed nim poważny Bojar w *kuczale* z siwą brodą i podając uprzejmie rękę, wita go: »*Czi may facz Kukonaszule!*«

Niespodziane zjawienie się gościa, który jak gdyby spadł z nieba, wprawiło Agę w największe zadziwienie, tak, że nawet zwyczajne grzeczne »*Synatos!*« w gardle mu zastrzegło.

»Dawno nie mógłem korzystać z waszego zaproszenia szanowny Ago; to obowiązki służby, to inne zatrudnienia były na przeszkodzie; raz ja, drugi raz Wy nie mieliście czasu; ale przecież nareszcie udało się. Zresztą i słota!« dodał, kładąc *kuczałę* na stole i nie zwracając najmniejszéj uwagi na zadziwienie gospodarza, »trzeba Was bardzo, bardzo kochać, ażeby wychodzić z domu w tak ulewną tuczę.«

»Proszę pozwolić z kim mam zaszczyt...?«

»Nie poznaliście? Cha! cha! cha! jak to się przyjaciół zapominać zwykło.—Natychmiast, natychmiast, proszę przebaczyć, mam moje przyzwyczajone nałogi.«

Pobiegł do drzwi i zaglądnął do drugiego pokoju.—»Nie masz nikogo, ale zawsze lepiéj zamknąć na klucz, ażeby nam nikt nie przeszkadzał w naszéj rozmowie. Zdaje się, żem i okna należycie nie zamknął; a trzeba to uczynić, żeby nie przeziębić i nie nabawić reumatyzmu mojego drogiego przyjaciela, wielce szanownego Agę!«

I zaczął okno zamykać.

Aga żegnał się, nie pojmując co się z nim dzieje.

Gdy gość miernym krokiem powrócił na dywan do gospodarza, klasnął Aga w ręce z zadziwienia. Zamiast Bojara stał przed nim mnich, wysoki, chudy, z rudą rozczochraną brodą.—Mnich siadł powoli na dywanie.

»Zadziwia cię ta przemiana?« zaczął znowu: »lecz uspokój się. Powierzchowność się tylko zmieniła, a nie moje serce dla ciebie. Ja ten sam twój przyjaciel, dla któregoś ty nie ze wszystkiém sprawiedliwy. Już dawno miałem potrzebę pomówić z tobą. Bo ja twój prawdziwy przyjaciel, o którym ty dzień i noc rozmyślasz. Ja Jundza!«

Aga mimowolnie zadrżał na całém ciele.

»Lecz uprzedzam cię zarazem najukochańszy i wielce szanowny przyjacielu, iż gdybyś chciał krzyczéć, lub téż głośniéj niż zwykle mówić, to ci oto tém cackiem usta zalepię...«

Jundza wyjął z rękawa niewielki kiścian, który na długim, cienkim sznurku przywiązany był do jego ręki. Aga nie posiadał się od złości, jednakże posłusznie usiadł obok Jundzy. — »Przyszedłem oddać ci przynależną sprawiedliwość. Ty jesteś przebiegły, rozumny, nieznużony i dzielny. Jużby dawno Jundzę powiesili, gdyby twoi podrzędni zapczowie choć cokolwiek byli podobnymi do ciebie, i Jundza chodziłby po księztwie jak po niechlujnéj oborze, gdyby w Bukarescie nie było takiego Agi jak ty. Mnóstwo najlepiéj rozważonych zamysłów zniweczyłeś mi swoją przezornością. Ty jeden jesteś moim potężnym nieprzyjacielem, lecz Jundza jest sprawiedliwym, i dla ciebie jednego ma szczególniejsze poważanie. A w dowód tego oto jestem gościem twoim.«

Aga siedział jak na zarzewiu i wlepił w niego oczy.

»Niedawno dowiedziałem się, że chcesz zaprowadzić po karczmach nową mniejszą miarę. Czyliż dla ciebie nie dosyć jest sto tysięcy *lewów,* które ci co rok urząd twój przynosi. Ty jesteś umiarkowany i żyjesz z rachubą. Dziesięć tysięcy, które możesz uzyskać tą dozwoloną niesprawiedliwością, nie przyniosą ci istnéj korzyści, a tymczasem danina ta obciąży biednych włościan i Cyganów, już i tak podatkami uciśnionych. Ty jesteś dobry i spaniałomyślny, odwołaj to rozporządzenie.«

Aga milczał.

»Wczoraj niewinnie wsadzono do twojego więzienia dwóch Bulgarów z Katardżi. *Logofet de adżi* dowodzi, że oni przyprowadzili na rynek ukradzionego wołu, a jemu po prostu chce się wziąć od nich kubana. Na cóż biédny naród uciskać? Każ ich uwolnić.«

Aga kiwnął głową w znak, że się zgadza.

»Pokornie ci dziękuję. Otóż interesa moje skończyły się. Teraz o miejskich plotkach pogadamy...«

Tu zaczął Jundza opowiadać tyle cudnych i niesłychanych rzeczy o kukonach i kukonicach, takie komiczne zdarzenia i tak zabawne sceny domowe, że Aga powoli i mimowolnie z radością przysłuchiwał się, zaczął się z początku uśmiéchać, daléj głośno śmiać się, a nareszcie wmięszał się do pogadanki i zaciekł w rozmowie z rozbójnikiem.

Pośród jednéj powieści wstał Aga z dywanu, ażeby zapalić lulkę, wracając na dawne miejsce, spostrzegł że przed nim siedzi już nie mnich, lecz Cygan brudny, kędzierzawy, bosy, w łachmanach, z cygańską

wymową, z cygańskiemi zwyczajami i układem. »Jundza!« krzyknął Aga, »ty czart nie człowiek! Szkoda że trwonisz nie na dobre talent swój szczególnego rodzaju.«

Gorżki uśmiéch rozlał się po twarzy Cygana. Zamilkł na chwilę — z czułością ścisnął rękę Agi — a potém rozśmiészającym tonem ciągnął daléj swoje powiastki.

Chwile ulatywały nieznacznie i dla gospodarza i dla gościa, jak dla dwóch najmocniéj zadowolonych sobą przyjaciół, wesoło rozmawiających.

»Czyby też przyszło komu do głowy«, rzekł wreszcie gość, »że Jundza w gościnie u bukarestskiego Agi?«

Aga zmieszał się.

»Przyjdzie czas, że i ty się będziesz śmiał ze mnie. Teraz pora do domu. Cóżby ci zostawić na pamiątkę drogi gospodarzu? — Aha, oto mego nierozłącznego towarzysza, żelazny kiścień. Jest on wierniejszy niż wszelkie oręże i zawsze posłuszny zwinnéj ręce. Patrz...«

W téj chwili po przeciwległéj ścianie wspinał się pająk do sufitu. Jundza machnął ręką i wbił pająka w ścianę, szarpnął za sznureczek i w mgnieniu oka kiścień już w jego ręku. Potém ścisnąwszy za rękę osłupiałego gospodarza, zbliżył się do okna i rzekł:

»Teraz pozwalam ci otworzyć drzwi, i zawołać wszystkich twoich domowników...«

Okno zabrzękło... a Jundza znikł w ciemności nocy.

Dnia następującego obudził się Aga ponury i strwożony. Widzenie się z Jundzą zdawało mu się ciężkiém, trapiącém nocnego snu marzeniem. Nie chciał wierzyć, że to było na jawie, zdawało się mu, iż oczekując wiadomości z Odobeszti, zasnął, a zatém nie było w tém nic dziwnego, że mu się rozbójnik przyśnił, o którym ustawicznie myślał. Aleć spojrzawszy na gzyms i ujrzawszy wklęsłość w ścianie kiścieniem zrządzoną, zdawało mu się, że pająk z grobu wydrzéźnia mu się śmiéchem szyderskim.

Ku wieczorowi przybiégł goniec z Odobeszti z wiadomością, że przed świtem okrążyli pandury pieczarę z daleka, z największą ostrożnością, ażeby nie byli postrzeżeni przez rozbójników, którzy bezpiecznie po pieczarze chodzili, a gdy już wszelkie przesmyki były opanowane, i żadnego dla oblężonych nie zostawało ratunku, uderzyli pandury z zapamiętałą wściekłością na rozbójników, aleć zamiast nich zastali w pieczarze — stado baranów odzianych w kacawajki, z czérwonemi feskami na łbie przywiązanémi.

Aga z pod brwi rzucił okiem na gzyms, a głębokie zmarszczki zaległy jego czoło. Zapalił lulkę, siadł na dywanie i kiwnął ręką na znak, żeby się goniec oddalił.

* * *

Nadaremnie zawistnicy szukali Agę, ażeby go spytać z szyderstwem, jak się też powiodła ostatnia wyprawa na Jundzę, która się już po całéj Wołoszczyźnie była rozniosła. Dwa dni go nikt nie widział w Bukarescie, lecz i w domu wklęsłość na ścianie nie dawała mu spokoju. Dzieło doszło do najwyższego stopnia. Gdzie się skryć od wstydu, gdyby się odkryły nocne odwidziny? — Wypada szybko pozbyć się Jundzy.

Aga otworzył szkatułkę, i wyjął sporą kiesę złota:

»Teraz ty będziesz moim!« rzekł z szydnym uśmiéchem.

* * *

Nie masz przedmiotu ani rzeczy, nie masz uczucia ni cnoty, którychby nie można kupić w Bukarescie za gotowe piéniądze. Od tego prawidła bardzo mało wyjątków. Aga brząknął hojnie złotem — i wierny towarzysz Jundzy Jordaki Bułasz, skłonił się wydać swego atamana.

W wiliję św. Elijasza most na Dymbowicy napełniono pandurami. Podług zapewnienia zdrajcy, miał Jundza tegoż dnia o czwartéj godzinie po południu w zielonéj karécie sześcią pocztowémi końmi wjechać do Bukarestu.

Aga z Bułaszem przypatrywali się drodze z poblizkiego domu.

W oznaczoną godzinę zaczął się kurz unosić. Zielona karéta toczyła się po *Podu-Moguszu.* Na zapytanie Agi odpowiedział Jordaki: »To Jundza!«

Z daleka wołano na karétę, ażeby się zatrzymała; lecz pocztylijon siedząc na jednym

z dyszlowych koni, pędził szóstką nie zważając na wołanie. Gdy karéta na most wjechała, rozkazał Aga strzelić, świsnęły kule i parę koni padło w mgnieniu oka na moście, pandury otoczyli podróżnego, który spiąc smacznie, był wystrzałami obudzony. Z podziwieniem spoglądał na zgromadzający się około niego lud, nie mogąc pojąć gdzie się znajduje, i co z nim robią.

Byłto ruski pułkownik G.

I Aga i Bułasz osłupieli z podziwienia. Pułkownik opatrywał się czyli nie był ranionym, a sługę jego powieźli do miasta, żeby mu z uda kulę wyjąć.

»Dla miłości Boga, rozkażcie opróżnić most!« wołał Bułasz, »to być nie może! on mnie nie oszukał, on przyjedzie, niewątpliwie przyjedzie!«

»A jeżeli nie przyjedzie?« odpowiedział stanowczym głosem Aga, »to ty będziesz jutro wisiał na rynku.«

Przywrócono dawniejszą spokojność na dymbowickim moście. Pandury ledwie zdołali nabić strzelby, gdy się druga karéta poszóstna z-za miasta pojawiła.

»On!« krzyknął Bułasz — i zakrywszy sobie twarz, jak gdyby się lękał spojrzenia Jundzy, schronił się do przyległego domu.

Zatrzymano konie, Aga otoczył karétę.

To w rzeczy saméj był Jundza i sam tylko jeden. Lecz bronił się z rozpaczą. Widząc nieuchronną zgubę swoję, okryty ranami rzucił się w rzékę; za nim skoczyli pandury. Jak lew postrzélony, z wściekłością bronił się prześladowcom, rażąc swym wiernym kiścieniem. Dymbowica zafarbowała się krwią i pianą. Nakoniec uległ pod razami przemocy i zakuto go w łańcuchy.

W tém zamiészaniu nikt nie uważał ani przeraźliwego krzyku młodéj dziewicy, ani sceny, gdy Anika zemdlawszy, padła na ręce Cyganki.

Byłto bowiem dzień, w którym Kostaki miał po nią przyjechać. W osobie jego poznała — Jundzę.

* * *

Po kilku dniach tracono publicznie Jundzę, a banda rozbójników sama się rozpierzchła. *D. Z.*

ODJAZD JEJ DO STOLICY.

(NADESŁANE.)

Porzuciłaś nasze strony,
 Zajął ciebie wielki świat;
Niespodzianie opuszczony,
 Płaczę wdzięków twoich strat!

Siostry ze mną — przyjaciele,
 Tysiąc wspomnień szłą ci tam;
Cierpią oni — lecz ja wiele,
 Ach, cóż pocznę teraz sam!

Na cóż ciebie pokochałem,
 Gdyś mi wzięła blask twych lic;
Na cóż serce ci oddałem,
 Kiedy w odwet biorę nic.

Zmartwień, trosek po kolei
 Rozsiał twój odjazdu dzień;
Pozostałem bez nadziei,
 Téj uleciał nawet cień!

Czegoż stajesz przed oczyma,
 Choć przed tobą chcę się skryć;
Już cię niéma — dla mnie niéma,
 Z tobom przestał już tu żyć!

Żegnam ciebie, bywaj zdrowa,
 Znikł mi uciech słodki czas;
Pamięć niech mi cię zachowa,
 Bywaj zdrowa jeszcze raz!

.........*.

NAJDROŻSZA
NA CAŁĄ LITWĘ ŚMIÉTANKA.

ZDARZENIE PRAWDZIWE.

Jeden z naszych umniczych i zaszczytnie znanych literatów, przed kilkunastu laty naukową obarczony pracą, obojętnym był na szczegóły gospodarcze; a jego służący wedle swéj woli, potrzeb do życia nader skąpą i nierzetelną dostarczał mu miarą, pomimo, że na miesięcznie podawanym rachunku tysiące umieszczał, to jest: kradł pana na urząd.

»Ignasiu, żebyś też był łaskaw lepszą do kawy dawać mi śmietankę.«

»A z kądże jéj wezmę? Przecież jaśnie wielmożny pan wié, że w mieście mieszkamy, gdybyśmy to własną miéć mogli krowę?«

»Ileż krowa kosztuje?«

»Za dojną potrzeba najmniéj trzysta zł. pol. zapłacić.

»Ot masz 300 złp.! kupże więc krowę.«

Ignaś wziął 300 złp. i nazajutrz nie krowę, nie jak zazwyczaj mléko, ale kupił śmietanki za groszy polskich trzy.

»A to wcale co innego; więc już mamy krowę?«

»Kupiłem jaśnie wielmożny panie, piękną, graniastą krówkę, a jakie ma wymię! a jakie rogi! ludzie się dziwią, żem za 300 złpol. tak śliczne dostał bydlątko.«

»Gdzieżeś ją umieścił?«

»Właśnie chciałem jaśnie wielmożnemu panu powiedzieć, że potrzeba nająć stajenkę, ale żądają 60 złp. rocznéj z góry zapłaty.«

»Masz 60 złp. byle tylko miała wygodę.«

»Proszę także pana o 20 złp. na furę siana, o złp. 6 na korczyk owsa i o złp. 9 na sieczkę i słomę do ściółki.«

Szanowny literat, który lubił kawę z dobrą śmietanką, wydobył i żądane 35 złp. i w najlepszéj wierze oddał hultajowi na żywienie krówki.

Po upływie dni kilku, Ignaś żąda od swojego pana 6 złp. na dwa korce ziemniaków, złp. 8 na buraki, brukiew i rzepę.

»A do czegoż to kochanku?«

»Oto widzi jaśnie wielmożny pan, należy rozmaite warzywa gotować i sieczkę krowie polewać, a w ówczas sześć razy tyle da mléka.«

»Dobrze, dobrze Ignasiu! wprawdzie ja tylko maleńki garnczek śmietanki potrzebuję...«

»Tak — ale widzi jaśnie wielmożny pan, że kiedy krowa jada buraczki i rzepę, śmietanka o wiele bywa lepszą.«*)

»Zgoda, zgoda mój Ignasiu! Kup buraczków i rzepki i brukwi i czego tylko potrzeba.«

I znów hultaj 14 złp. zadławił.

Niezadługo zażądał złp. 10 na pszenne otręby i na sól. Późniéj upomniał się o zapłatę dla kobiéty krowę dojącéj, dla parobka, który czyni oprzątnięcie; wyłudził następnie na grzebielec, na szczotki, na drabinkę, na nowy żłób, na łańcuszek, na kubełek do wody i na rozmaite nieprzeliczone sprzęty stajenne — jedném słowem, iż nie było dnia, żeby krowa czegoś nie potrzebowała. Bezczelność najwyższego doszła stopnia: twierdził, że należy dla krowy kupić na zimę węgierski koc do okrywania.

Literat dał i na koc złp. 20, nie licząc, że w niespełna miesiącu, owa śmietanka już przeszło 500 złp. kosztuje.

Zdarzyło się, że ktoś z gości śmietankę pochwalił i zarazem krówkę zobaczyć pragnął. Ignaś zdrętwiał — ale się na prędce ocknął i pobiegł po krówkę. Ciekawi stali u okna pół godziny; Ignaś powraca z doniesieniem, że parobek krówkę oprzątający, klucz od stajenki zagubił. Śmiałém kłamstwem hultaj z niebezpieczeństwa na on raz wypłynął, ale przestraszony tym wypadkiem, zwłaszcza że i pan jego już poprzednio chęć poznania prześlicznéj krówki okazywał — postanowił złemu stanowczo zaradzić. Jakoż nazajutrz doniósł, że krowa zachorowała. Przez trzy dni płacił oszukiwany literat dla weterynarza po złp. 5, do aptéki za lékarstwa wydał także kilkanaście złp. — a przecież nielitośna śmierć ubłagać się nie dała i krówka w skutek zapalenia śledziony, z pośród żyjących bydlątek wymazaną została.

Każdy z prostodusznych myśli, iż się niecne hultaja obławy skończyły, otóż nie: Ignaś przy doniesieniu o tym, jak okazywał, najboleśniejszym dla niego wypadku, śród rzewnego płaczu zażądał złp. 6 na najęcie woza do wywiezienia za miasto zaraźliwych zwłók nieboszczki, daléj złp. 4 dla mistrza za zdjęcie skóry — a dopiéro w końcu złp. 50 za przebudowanie stajenki, w któréj zaraźliwa choroba istniała.

»Pokaż mi przynajmniéj skórę«, rzekł zasmucony literat. »Spominałeś, że tak prześliczne miała odmiany; radbym ją malarzowi opisać, iżby mi w pięknym obrazie zrobił pamiątkę, żem był właścicielem krówki; rozumiesz mię Ignasiu?«

»Rozumiém jaśnie panie. Ale ja tę skórę powiesiłem na płocie, iżby przeschła i proszę jaśnie wielmożnego pana, już wyraźnie z tą krową nieszczęście, bo całą skórę psy pana marszałka w drobne kawałeczki rozerwały i pożarły a i rogi skradziono; lecz jeźli jaśnie wielmożny pan pozwoli, opowiém malarzowi, jak ta krowa wyglądała.«

W kilka tygodni potém, graniasta krówka olejną farbą na płótnie odmalowana, przypominała łatwowiernemu literatowi, iż przez niespełna miesiąc kawę z dobrą spijał śmietanką.

Dopiéro w rok późniéj szanowny literat doszedł przypadkiem, że ona krówka nigdy na świecie nie żyła. »Ot rozumić pan, tak nas uczonych głupcy oszukują!« Te wyrazy i dzisiaj z ust uśmiéchającego się literata usłyszéć można. Ignaś się w ówczas wstydził, ale jeszcze nie postradał służby u prawdziwie chrześcijańskiéj dobroci pana.

Au. Wi.

(Biblijoteka warszawska.)

---

*) Rzecz się ma przeciwnie: podobna karm dla krów zwiększa bardzo znacznie ilość mléka, ale nie dobroć śmietanki.

NEDZA LUDZKA.

Nié ma tak wielkiego na ziemi nieszczęścia, aby się jeszcze większe nie znalazło. Nikt nie jest tak bardzo pognębionym i nędznym, aby

już żadnéj a żadnéj nie miał nadziei, skoro tylko w sobie niewinne i czyste zachowa serce. »Życie nie jest największe dobro, ale największém nieszczęściem jest: przewinienie!« — — — W łachy odziany, blady, znędzniały, a jednak z twarzą szlachetną, kiedyś piękną, chociaż teraz bruzdami pokrytą, jak obraz największéj nędzy — stanął w Paryżu w biurze policyjnéj komisyi człowiek, który głosem serce przenikającym upraszał téj łaski, aby go najsurowszą, zasłużoną karą od zgryzoty sumienia uwolniono i skołatany umysł jego uspokojono. Sąd wypytywał go ochronnie i łagodnie, a on ze łzami w oczach i boleścią na twarzy, która o wewnętrzném wzruszeniu i najściślejszéj prawdzie zeznania jego poświadczała, opowiedział wypadek, który *Gazette des Tribunaux*, w sposób następujący dosłownie ogłosiła: »Zowię się Klaudyjusz Bizel, mam lat trzydzieści i cztéry. Jako spółpracownik przy wielu dziennikach i autor kilku wydanych dzieł, które z upodobaniem od publiczności przyjęte były, mógłbym sobie rościć niejakie prawo do sławy literata (*homme de lettres*). Ożeniłem się przed trzema laty. Małżonka moja była miłą, dobrą i piękną, rodziców szlachetnych, a przecież nie byliśmy z sobą szczęśliwi, bo nas ubóstwo ciężko przygniatało! Przez dwa lata walczyłem odważnie z losem, żona moja dzień i noc trudniła się szyciem, chociaż mozolna praca ta bardzo licho się wynagradzała; w niedostatku innego zarobku, dawałem lekcyje prywatne. Jednakże i to się skończyło; coraz bardziéj gasły widoki utrzymania się zarobkiem. Zamyśliliśmy oddalić się z Paryża i chwycić się wszelkiéj ostateczności. Nie miałem żadnego istotnego stanu, nie umiałem żadnego rzemiosła, któreby nas wyżywić mogło. Spodziewałem się, że w aktorskim stanie znajdę utrzymanie, i wstąpiłem do towarzystwa aktorów, które po małych miastach w Normandyi grywało. Lecz wkrótce przekonałem się, żem się zawiódł w mojém oczekiwaniu, że stan ten świetny z pozoru, jest tylko migotny połysk w obłęd wiodący! Dochody zaledwo wystarczały na pokrycie wydatków; żona moja i ja, pomimo największe ograniczenie i niedostatek, do którego od lat kilku byliśmy przyzwyczajeni, nie mogliśmy nawet koniecznych, niezbędnych potrzeb zaspokoić. Ucisk wzmagał się, rozpacz brała górę, nikt się nie użalił, nikt nie dopomógł! Wtedy żona moja chwyciła się ostatecznego środka; osądźcie panowie sami, coto znaczy, gdy dobrze wychowana, szlachetna, ukochana małżonka odważy się po miastach — gdzie tylko towarzystwo aktorów naszych przebywało — śpiéwać po kawiarniach przed publicznością, i uzbiéranym groszem, który szczéra był jałmużną, nędznie utrzymywać męża i siebie! Z tąd możecie panowie powziąć miarę, jak okropném było położenie nasze! Wkrótce jednak dotknęło nas nowe nieszczęście. Towarzystwo nasze zniecierpliwione włóczęgą i bezowocném usiłowaniem rozwiązało się i rozprószyło po świecie. Daremne były moje zabiegi zaangażowania się do innych teatrów; wszędzie mi odmawiano lub mnie próżném przyrzeczeniem zbywano; tak zostaliśmy ograniczeni na bardzo szczupły dochód, który żona moja chodząc od domu do domu i śpiéwając po kawiarniach i ulicach, zarobić się starała; bywały dnie, w których nawet i to skąpe źródło całkiem płynąć przestało. Na początku tygodnia przed zapustną niedzielą przenocowaliśmy w *Pont-Audemer*. Nie mając ani grosza, poszliśmy w dalszą drogę; usiłowaliśmy dostać się do Paryża, a w podróży spodziéwaliśmy się żyć z jałmużny, by przynajmniéj z głodu i zimna nie zginąć! W czwartek dnia 18go lutego odprawiono nas przykrémi słowy z kilku przy gościńcu położonych oberży, w którycheśmy przed gośćmi — dla zaspokojenia dojmującego głodu — śpiéwać chcieli! Idąc przez dzień cały, nie mając przez dwadzieścia cztéry godzin ani kęska chleba w ustach, wysileni podróżą i znękani upokorzeniem, znaleźliśmy wieczorem przytułek w stajni na jednym folwarku; ubogi służalec podzielił lichą swoję wieczerzę z moją nieszczęśliwą żoną. Nazajutrz puściliśmy się znowu po nad brzegiem Eury w dalszą pielgrzymkę, bośmy chcieli się dostać do Evreux. Lecz to już było nad siły nasze! Głodem zmorzeni, zimnem przejęci, szliśmy jeszcze całą milę w głębokiém milczeniu. Żona moja coraz bardziéj słabła, nareszcie tak z sił opadła, że już na nogach ostać się nie mogła, chociaż już z daleka widzieliśmy szczyty wież Evreux. Będąc sam w rozpaczy, starałem się ile możności dodawać jéj odwagi; czyniłem co mogłem, nacierałem od zimna strętwiałe jéj członki, chciałem ją pomimo własne wysilenie, na moich ramionach nieść aż do miasta, gdziebyśmy przecież jakąkolwiek pomoc znaleźli, lecz ona odrzekła: »Nadaremna praca! Dziś, jutro albo za tydzień... zawsze nas czeka los jednaki, los najsroższéj nędzy! Im prędzéj, tém lepiéj! Zakończmy to nieszczęście: umrzeć jest jedyna pociecha, która nam pozostaje. Jam już się namyśliła. Jeżeli w tém okropném poniżeniu, w téj okropnéj nędzy, zachowałeś jeszcze to przywiązanie, któreś zawsze miał dla mnie, jeżeli miłość twoja ku mnie, jest większa niż to nieszczęście nasze, umiérajmyż oboje, tak, jakeśmy oboje cierpieli, a to teraz zaraz, w téj chwili! Tam płynie rzéka — jéj głębia niech będzie grobem naszym.

Ona nas przyjmie, ona litościwsza—niż ludzie! Umrzyjmy, wszak na całym tym szerokim świecie nikt za nami nie zapłacze!« — Starałem się ile mogłem odwieść ją od tego smutnego zamysłu, ale już było zapóżno, stać się musiało! Postanowiłem wraz z nią zakończyć nędzne życie. Na usilną jej prośbę, związałem jéj ręce i nogi chustką; stanąwszy nad stromym brzegiem, wpatrzyliśmy się po raz ostatni w siebie, i oto — jak gdyby chcąc mnie przykładem swym zachęcić, nieszczęsna żona moja dawszy mi ostatni, wieczny pocałunek— rzuciła się w rzékę i—już mi z oczu zniknęła! — — Co w téj okropnéj chwili ze mną się działo, tego słowy określić nie zdołam. Gdym ujrzał lecącą ukochaną żonę w przepaścistą głębię, utraciłem wszystkie zmysły.— Ciemność zaległa oczy moje, strętwiałem — a przecież żyłem jeszcze! Wiatr mroźny i boleść przywróciły mi opamiętanie, ale— o nieszczęście! jakaś niepojęta zebrała mię trwoga i nie dopuściła rzucić się w objęcie śmierci! Bez wiedzy, bez celu, bez zamiaru, bez czucia i przytomności, jak na rozumie obłąkany, puściłem się w dalszą drogę. Żyłem z jałmużny, sypiałem nocą przy publicznym gościńcu, błagałem nieba, aby jak najprędzéj zakończył cierpienia moje; nieustannie widziałem przed oczyma mojemi owę okropną ofiarę śmierci! Śród krwawych wyrzutów sumienia, żem się przyłożył do jéj samobójstwa, zawlokłem się do Paryża, a teraz staję oto przed sądem, dla zeznania zbrodni mojéj i oddania się w ręce sprawiedliwości.« — —Tak mówił ten człowiek! Komisarz policyi wpisał jego zeznanie do protokułu i kazał go zaprowadzić do więzienia. Nazajutrz oddano go pod sąd karny. Z tego wszystkiego wnieść można, jakich męczarni nie wycierpiało to tkliwe, czułe, dobrego wychowania stadło! Zginęła biédna żona, mąż żyje jeszcze; ale możnaż życie takie nazwać życiem! Zdołaż talent którego poety, smutniejszy przedstawić nam obraz? Możnaż sobie wyobrazić jeszcze większą nędzę ludzką? A przecież, przecież ten od losu srogo ścigany nędzarz, nie jest najnieszczęśliwszym mieszkańcem tego świata!«

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 43. i obejmuje: 1) Jeszcze słów kilka o siejbie. (Dokończenie). 2) O okrywaniu delikatnych drzew owocowych w zimie i ratowaniu przez mrozy uszkodzonych. 3) Gorzelnictwo. 4) Mocny kit do pieców. 5) Sposób słoninę i szynki tak przechowywać, aby się nie starzały. 6) Wiadomości czasowe: O wywabianiu plam z sukien i różnych tkanin i t. d.

Wkrótce ma pójść pod prasę książeczka ku nauce dzieci, przez Józefa Kokurewicza napisana, pod nazwą: *Nauka czytania bez poprzedniego głoskowania i zgłoskowania.* Dziełko to będące wstępem do dalszych w tym zawodzie prac zamiłowanego w ojczystym języku autora, stawa w obronie słabego pojęcia i miękkiego umysłu małych dziatek, wykazując niestósowne i błędne dotychczasowe udzielanie nauki czytania, i podaje sposób łatwy, z dziecięcą pojętliwością zgodny, jak temu zaradzić. Piękne i ze wszech miar zachęty godne usiłowanie, nieustępujące w zasłudze tym pracom, które ku obaleniu owego Alwaroskiego: *Quae maribus tribuuntur*, z szczęśliwym skutkiem podjęto.

Rusałka na rok 1841, wydana w Wilnie przez Aleksandra Grozę, mieści z prozy: Dalsze *Szkice kontraktowe* wydawcy; wyborny *Ustęp z pamiętników starego litewskiego szlachcica*, przez Henryka hr. Rzewuskiego, autora *Pamiętników Soplicy;* gładką powiastkę *Pan Grzegorz* i dalsze *Rozmowy umarłych Polaków i cudzoziemców;* z poezyj, dumę ukraińską: *Pierwsza pokuta Żeleźniaka* i kilka drobnych utworów. Głównym jednakże w prozie artykułem tegorocznéj *Rusałki,* jest pana Michała Grabowskiego: *Stan literatury polskiéj w obecnéj chwili*, który prawie połowę książki zajmuje. Ceniąc dobre chęci autora, nie spostrzegliśmy zdaniem naszém w tym pobieżnym wykazie tyle gruntowności, ile jéj pan Grabowski, mianowicie w pierwszych tomach swéj *Literatury i krytyki*, rozwinął. A wszakże byłto przedmiot godny ze wszech miar głębszego i rozważniejszego zastanowienia.

Biblijoteka warszawska z miesiąca października mieści prospekt na nowe pismo peryjodyczne, mające wychodzić w Warszawie w poszytach miesięcznych od dnia 1go stycznia r. 1842, pod tytułem: *Pielgrzym*, i zawiérać: 1) pisma oryginalne lub tłumaczone w przedmiocie filozofii; 2) rozbiory krytyczne systemów filozoficznych; 3) obrazy epok i ludzi historycznych; rozprawy o literaturze; 5) myśli o estetyce; 6) bijografije uczonych; 7) rysy z dziejów sztuki i charakterystykę znaczniejszych artystów; 8) poezyję; 9) powieści lub ich rozbiory; 10) doniesienia naukowe. Redaktorką podpisała się na prospekcie p. Eleonora Ziemęcka, któréj kilka głębszéj treści artykułów czytaliśmy z zajęciem w Noworoczniku *Pierwiosnek* i w różnych warszawskich pismach czasowych.

Pamiętniki pani Lafarge, tak w oryginale jakoteż w tłumaczeniu, są nazawsze w Prusiech zakazane, równie jak i wszystko, co tylko od téj niewiasty na przyszłość pochodzić będzie. Takiż sam zamiar miał rząd francuzki, ale go nie wykonał. Posłuchajmy, jak się autor *des Nouvelles à la main* pod względem zaniedbania tego zakazu w numerze z miesiąca września wyraża: »Pamiętniki pani Lafarge wyszły na widok publiczny. Nie chodzi tu ani o przewinę ani o niewinność pani Lafarge, ani też o to, ażali książka jéj jenijalnie lub niedorzecznie jest napisaną; ale o to, ażali rząd miał prawo dozwolić, aby na widok publiczny wyszła książka, któréj już sama przedmowa jest kary-godna. Wydawać na widok publiczny swe pomysły, prawo to przynależy każdemu Francuzowi, ale nie więźniom, którzy już nie mają ojczyzny, skoro ich sąd co do stosunków towarzyskich za umarłych ogłosił. Pamiętniki te nie są żałosną, na uwagę zasługującą obroną niewiasty, która publiczność o swojéj niewinności przekonać pragnie, ale są dziełem nikczemnéj, bezwstydnéj kobiéty, zabezpieczonéj kratą więzienia od słusznéj zemsty. Autora uzacnia jego odpowiedzialność w obec ustaw i publiczności; ale powyższy postępek jest znieważeniem prawa autorów. Sąd nie dozwalał, aby pani Lafarge w obronę swoję to mówiła, co ona teraz pisze; sprawiedliwość więc w prawach swych jest pokrzywdzona. Niepodobna, aby dzieło wyszło na widok publiczny bez wielorakiéj umowy, bez porozumiéwania się z nakładnikiem i drukarzem; a więc zachodziły stosunki, więc korespondowano, umawiano się o *honoraryjum:* widać, że urzędnicy czuwający nad panią Lafarge w więzieniu, podawali do tego pomocną rękę. Więc tu zachodzi albo prawo albo wyjątek. Jeżeli wyjątek, pytamy, kto nań zezwolił? Jeżeli zaś prawo — w takim razie milczéć nam wypada. Ależ na ten czas każdemu więźniowi wolno będzie wydawać na widok publiczny wypadki swego życia i upiększać swą zbrodnię moralnym kałem z galer. A zatém powstanie nowa literatura! Dotąd mieliśmy tylko literaturę klasyczną i romantyczną; teraz otrzymamy jeszcze literaturę osób, na całe życie do więzienia skazanych!«

O winie. Gatunki wina są rozmaite. W Hiszpanii liczą przeszło czterysta, we Francyi przeszło tysiąc

gatunków. Jedna winnica na górze Jury dostarcza dziewiętnaście gatunków. W którym kraju wino wzięło piérwszy początek, nie można dociec; przedsięwzięte pod tym względem badania, nie wyjaśniły téj rzeczy. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, wzięło wino swój początek na Wschodzie. Właściwa przestrzeń ziemi, na któréj obficie rośnie, obejmuje niemal 16 stopni, zacząwszy od Koblencyi pod 51° na północy, aż do wyspy Cypru na południe. W Kalabryi i innych krajach gorących, trzeba winorośl zasłaniać od zbytecznych upałów słońca. W Ameryce osadnicy niemieccy zasadzili winną macicę z nad Renu, a prócz tego rośnie tamże 70 gatunków dzikiej macicy. Najlepsze plantacyje wina w ogóle udają się najszczególniéj na wzgórzach średniej wysokości, które na wierzchołku gęstym gajem zarosłe i na słońce są wystawione. Położenie ku południowi nie zawsze potrzebne; na lewym brzegu Renu i Mozeli rośnie dobre wino na północnej stronie. Bujna i tłusta ziemia nie wydaje dobrego wina, a tém mniéj grunt wilgotny. W całéj Francyi, wyjąwszy Prowancyję, w Niemczech, Szwajcaryi i w Węgrzech rośnie winna macica nizko; we Włoszech zaś aż na drzewa się wspina; w Grecyi ma winorośl pień gruby, jak inne drzewa, tak, iż gałązki same o swojéj mocy się trzymają. Jeden tylko gatunek wina uzyskuje się bez wytłaczania, to jest wino nazwane: *Lacrimae Christi*. Winogrona te pękają same przez się i ściekają w podstawione naczynia. Tym samym sposobem otrzymuje się także najlepszy gatunek malagi. Winograd, z którego mamy wino cypryjskie, wybija się grubémi kijami na pochyło ustawionych deskach. We Francyi winna macica zajmuje dwa milijony hektarów przestrzeni, i wydaje w przecięciu 35 milijonów hektolitrów wina, z którego szósta część na wódkę się przerabia; roczny dochód z wina czyni 720 milijonów franków.

F a b r y k o w a n i e g e m m ó w w R z y m i e. *Litt. Zeit.* z dnia 18go września, z powodu dwiestu gemmów, które w Londynie dnia 11go sierpnia sprzedano, nadmienia o zakładzie w Rzymie, gdzie starożytne gemmy na wielką stopę fabrykują. Robota jest tak doskonała, że nawet znawcy zaledwo je od prawdziwych rozeznać mogą, zwłaszcza że im fabrykanci także powiérzchowność minionych wieków nadać umieją. Dzieje się to w ten sposób, iż świéżo-rzniętą gemmę wtłaczają w gardło indykowi, który ją połyka. Poczém gdy kamień niejaki czas w żołądku pobędzie, zabijają to zwierzę. Przez to tarcie żołądka, otrzymuje kamień powierzchowność, zupełnie greckiéj gemmy, tak, iż się zdaje, jak gdyby takowa jeszcze przed lat 2000 rzniętą była.

Z n i e s i e n i e n i e w o l n i c t w a w T u n e c i e. Dziennik katolicki *l'Univers* donosi z Afryki co następuje: List nadesłany z Tunetu zawiera wiadomość, która zapewne dla wielu przyjaciół ludzkości radosna będzie. W tém państwie zniesiono z wszelką uroczystością niewolnictwo, a zatém w państwie, które pomimo swego nazwiska, mniéj jest barbarzyńskie, niż rządy, które się za wzór liberalnych instytucyj mają. W dniu w którym wydano tę uchwałę, był właśnie wielki targ na niewolników, w okamgnieniu wstrzymano sprzedaż ludzi, Bej sam rozkazał poburzyć gmachy, w których niewolników sprzedawano i zażądał, aby wykonanie rozkazu jego natychmiast nastąpiło.

P r z e s t r o g a d l a w y c h o d c ó w. Od niejakiego czasu widać w Paryżu po murach poprzylépiane kartki z odezwą do stolarzy, cieśli i innéj czeladzi rzemieślniczéj, aby w środkowéj Ameryce osiadali. Dziennik *Globe* zawiéra w téj mierze co następuje: »Nie możemy dość przestrzegać wszystkich poczciwych rzemieślników od złudnéj nadziei, jaką niektórzy omamić ich usiłują, by za morzem lepszego losu niż w ojczyźnie szukali. Mając dokładną znajomość o tym kraju, możemy w téj mierze każdemu udzielić naszéj rady, który jéj od nas zasięgnąć zechce. Tymczasem ciągle przypominać będziemy, że jeszcze dotychczas na piaszczystych wybrzeżach Guazecualco leżą bez pogrzebu kości tych czterech do pięciuset nieszczęśliwych wychodców, których filantropia europejska zawiodła, a którzy tam swobodę i bogactwo znaleźć się spodziewali.«

T a l l e y r a n d był równie oryginalny jak i dziwaczny człowiek, czego w życiu powszedniém częściej niż w polityczném dowody dawał. Przy obiedzie pijał czasem tylko wodę, a czasem wiele wina. Miał wygórowany wstręt od wszelkiego lekarstwa, dla tego księżna Dino, gdy był chory, doznawała wielkich trudności w zniewoleniu go, aby jak najmniejszą pigułkę zażył. Pomimo, że natura w wielorakim względzie niedbale go wyposażyła, ubierał się jednak bardzo wytwornie, a mianowicie nosił tak ciasne suknie, jak najpiérwszy modniś paryski. Przeciwnie zaś służącym swoim dla oszczędności, kazał tak przestroną robić liberyję, że ją najotylszy z nich wygodnie mógł wdziać na siebie.

P r z y g o d a w c z a s i e p o l o w a n i a n a l i s a. Słyszałem niemało wypadków, opowiada pewien autor francuzki, wydarzonych w czasie polowania Anglików na lisa. W St. Omer poznałem kilku myśliwych Anglików, a ci dnia jednego zaproponowali mi, abym im towarzyszył. Byłto piękny poranek w miesiącu lutym. Miejscem zgromadzenia była széroka równina o dwie mile od St. Omer. W godzinie wyznaczonej zjechało się nas około piętnastu strzelców, było także kilka dam między nami, nie zbywało i na ciekawych, którzy pieszo przybyli. Jeden z strzelców mający w worku lisa, wypuścił go w niejakiém oddaleniu, a skorośmy go z oczu stracili, poszczwano za nim psami i polowanie się rozpoczęło. Lis prowadził nas prostą liniją ku gościńcowi, który niemal o milę był odległy. Wkrótce dostał się do szeregu domów na rogu włości, i skoczył przez otwarte okno do izby, prawie na podołek pewnéj staruszce, która siedząc przy oknie, kądziel przędła. Z tamtąd jednym susem dostał się na łóżko, gdzie się natychmiast w siennik zarył; psy goniąc za nim, zbiegły się także pod tę chatę, i cała obława powskakiwała oknem do izby. Biedna staruszka zagłuszona wrzawą trzydziestu psów, które w izdebce jéj wszystko do góry nogami przywróciły, nie wiedziała sama, któremu Świętemu ma się w obronę polecić, ażeśmy nareszcie na pomoc jéj przybyli. Z trudnością przyszło nam psy uspokoić, potém rozprulismy siennik dla wydobycia lisa, który tym sposobem znowu do worka powrócił, aby jeszcze raz nań polowano. Co do mnie, odeszła mnie wszelka ochota tym sposobem polować.

W d z i e n n i k u *Dampfboot* czytamy: »Thiers, który w rozmowie z Berlińczykami za każdém trzeciém słowem nazwisko Hegla słyszał, sądził, że się tak jaka narodowa potrawa nazywa. Kazał więc posługaczowi w hotelu, aby mu porcyję Hegla przyniósł. Na szczęście, że posługacz był także Heglijanistą i wyjaśnił to nieporozumienie.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców ***F r a n c i s z k a K r a t t e r a.***
Drukiem Piotra Pillera.